

przegrać, a przegrana sprowadza bardzo często smutne skutki...

— Jeśli przegram cioteczko, nie wątpię, że stryj Jan nie odmówi mi pożyczki — odparł młody człowiek uśmiechając się złośliwie.

Księżna zamilkła, chociaż odpowiedź synowca oburzyła ją i dotknęła boleśnie.

Oparła się na ramieniu Zosi i zwróciła kroki w stronę, gdzie stały powozy. Jerzy torował im drogę w pośród tłumu. Zadanie było nietrudne, wszyscy bowiem rozstępowali się z najgłębszym szacunkiem przed kobietą poważną, pełną godności, idącą powoli obok ślicznej i dystygowanej panny. Nawet harde i zwykle hałaśliwe przedstawicielki warszawskiego pół-swiatka, usuwały się im z drogi.

— Ta stara, to jego ciotka, po której ma zagarnąć olbrzymią sukcesję — szepnęła jedna z nich do ucha drugiej — a ta dziewczyna w białej sukience, to jej panna do towarzystwa. On ładny chłopiec... a przytem będzie kolosalnie bogaty. Odziedziczy dwa majątki: jeden po księżnej, a drugi po księdzu...

— Wiem, wiem! po tym, co u Karmelitów nieważne kazania!

— Ba, to ty bywasz na kazaniach? — zapytała, wybuchając głośnym śmiechem, mała, chuda, rudowłosa wietrzniça.

— Łatwo odgadnąć, jaki los czeka pannę do towarzystwa — ciągnęła dalej wysoka brunetka, która pierwsza głos zabrała — ładny panicz zbałamuci ubogą dziewczynę i wkrótce zobaczymy ją w naszym towarzystwie.

— E, nie!... Gotów ją wywieść het daleko, za morza, bo podobno przepada za podróżami. Niedawno powrócił z Ameryki...

Urwały nagle, spostrzegły bowiem, że Jerzy, który odprowadził księżnę z Zosią do powozu, idzie teraz ku nim zamyślony głęboko. Mijając je, zmierzył wszystkie chłodnym, pogardliwym, lekceważącym wzrokiem.

Dumny był, jak wszyscy Wielogrodzcy, lecz nie posiadał wrodzonej im dobroci i uprzejmości, którą jednali sobie serca ludzkie. Z góry traktował śmiertelników, których nie uważał za równych sobie urodzeniem, majątkiem i stanowiskiem. Nawet Bogajewskiego (co prawda, nie bez słuszości) miał za nic — chociaż go lubił, dopuszczał do pewnej poufałości i twierdził (opierając się podobno na Paprockim i Niesieckim), że jest nie tylko „dobrze urodzonym“, lecz jednym z „najlepiej urodzonych“ w całym kraju.

Jerzego, po powrocie z zagranicy, przyjął i powitał arystokratyczny świat warszawski bardzo życzliwie, z pewnem nawet szczególnem wyróżnieniem. Jakże go nie miano wyróżniać? był przecież już bogaty, a lada dzień odziedziczy miliony! Zapomniano... a raczej udawano zapomnienie o skandalicznej przeszłości jego matki i samobójstwie ojca. Jerzy zaś istotnie nie wiedział o niczem, ciotka bowiem i stryj ukrywali przed nim tragiczną historię jego rodziców, nie chcąc obudzać w młodocianem sercu przedwczesnej rozterki, mogącej — według ich przekonania — zwichnąć nawet prawy charakter i popchnąć chłopca na najgorsze tory.

Idącego z poza szranków wyścigowych, otoczyło teraz grono złotej i poślacanej młodzieży.

— Odprowadziliśmy ciepłą ciotunię do powozu — rzekł do Jerzego Żaboklicki, uchodzący za doskonałego znawcę koni — a teraz przychodzimy grać dalej. Nieprawdaż?

— Nie wiem jeszcze, czy grać będę — odparł Jerzy. Moje panie za nic w świecie nie chciały pozostać do końca wyścigów. Dla cioci nie przedstawiają one najmniejszego interesu, a przytem nie lubi licznych zgromadzeń i tłumów. Strasznie zadomowiona; nawet bardzo rzadko i bardzo niewiele osób przyjmuje teraz u siebie.

— Od pewnego czasu dopiero — rzekł młodziutki hrabia Orski ironicznie. Dawniej księżna przyjmowała wizyty i oddawała je sama chętnie. Salony na Smolnej stały otworem dla całej Warszawy, lecz od chwili, gdy w jej niemal obecności, rozegrał się w nich straszny dramat, przywdziała żałobę, a drzwi jej pałacu otwierają się tylko dla szczupłego grona krewnych i wybranych. Widzi pan — mówił, zwracając się do Jerzego — nasze najarystokratyczniejsze rodziny ukrywać muszą nie raz straszne tajemnice degeneracji i upadku rasy, których w oczach pospolicich i złośliwych śmiertelników nie może zatrzeć ani historyczne nazwisko, ani tytuł... ani nawet olbrzymi majątek!

Oczy Jerzego zamigotały, jak błyskawice.

W chwili, gdy zgromadzeni tu młodzi ludzie, odsunęli się nieco na bok, dyskutując zawzięcie

o rodowodzie jednego z biegających dziś koni, zbliżył się do Orskiego i zapytał po cichu:

— Co mają oznaczać słowa, które pan parę minut temu wypowiedział?

— Och, przecie to bardzo dawne dzieje! Przed kilku laty opowiadała mi je moja matka, przyjaciółka księżnej...

— Powiedz pan raczej, nieprzyjaciółka!

— Kto wie?... Być może!

Jerzy nie śmiał wypytować dalej, lecz szepnął, starając się głosem swemu nadać ton zupełnego spokoju:

— Innym razem... gdy będziemy sami... pomówimy o tem, co panu pańska matka powiedziała.

— Nie mam nic do dodania do poprzednich moich wyrazów — odparł hrabia Orski, który spostrzegł, że posunął się za daleko i czyn brzydki popełnił. Byłem pewny, że o czem wie świat cały i pan wiedzieć musi!

Płomiennym wzrokiem zmierzył Jerzy nieletniego przeciwnika.

— Nie ulega wątpliwości, że prędzej, czy później spotka mnie pan na swojej drodze. Radzę, bądź ostrożny, bo słyszałeś pewno w swoim kó-

To rzekłszy odwrócił się od skonfundowanego młodzieniaszka.

Nie czekając na zakończenie wyścigów, bo bądź co bądź czuł się bardziej wzburzony, niż to okazać pragnął, zmierzał szybko ku furtce, za którą stał jego kabriolet.

Dostrzegł go z poza swego okienka Bogajewski.

— Hola! hola! — zawołał — ulatniasz się hrabia po angielsku! To nie wypada. Zaczekaj pół godziny; przecie to bieg ostatni... Zaraz po rozpoczęciu gonitwy mogę się oddalić. Zabierzesz mnie pan z sobą...

— Niczego ci dzisiaj odmówić nie mogę, bo informacja twoja była wyborna. Należy ci się nawet odemnie jeszcze komisowe. Masz! — i wsunął mu w rękę papiera.

— Pięćdziesiątka! bravo! — rzekł Bogajewski, chowając banknot do kieszeni. Dobry dzień! szynkowny dzień! Daj Boże więcej takich!... Ach, żebyś pan wiedział, jaka zielona wściekłość ogarnia porządnego człowieka, gdy od południa do wieczora musi ręce babrać w cudzych pieniądzach!

— No, no! nie uskarżaj się ładaco. Bądź co bądź masz intratną posadę.

— Niech ją pioruny siarczyste!... — machnął ręką, dodając ironicznym tonem — dziękuję panu hrabiemu za nią! Gdyby nie magnacka łaska jasnie pana, nie codziennie miałbym na bułeczkę do kawy!

W kwadrans potem pędzili razem do miasta.

Kabriolet zatrzymał się przed jedną z najwytworniejszych restauracji. Jerzy odprowadził stangreta z końmi na Smolną, sam zaś wprowadził Bogajewskiego bocznem wejściem do gabinetu na parterze.

Kelnerzy, znający gości, szybko nakryli do stołu i po przekąskach podali sutą wierzere.

Jerzy — jak to już powiedzieliśmy — lubił Bogajewskiego, który umiał mu schlebować, a nadto bawił go swoim szczerem cynizmem. Pasorzyt, posiadający talent jednania sobie możnych — talent właściwy dawnym rezydentom na pańskich dworach — pod pozorami hardej szlacheckiej rubaszości i swobodnego słowa, ukrywał niezwykle spryt wytrawnego dworaka, którym panował nad niedoświadczonym młodzieńcem, okazującym mu pewien rodzaj wdzięczności: za wtajemniczenie w praktyki wyścigowe, za wprowadzanie za kuliszy teatrzyków, oraz poznawanie z żeńskim personelem baletu Teatru Wielkiego i tym podobne usługi. Od powrotu z Ame-

ryki, Jerzy nie nie rozpoczynał, nie poradziwszy się wprzód „Bogajesia“, który, niby przedewszystkiem oddany interesom panicza, radził jednak to tylko, co jemu samemu korzyść przynieść mogło.

Dziś młody człowiek, zirytowany rozmową z Orskim, niczego widocznie od towarzysza nie chciał się dowiedzieć, bo jadł mało i milczał u parcie.

— Czemu hrabia nie je? — zapytał totumfacki. Wszystko, co nam podają, jest stanowczo doskonałe spitaszone. Można śmiało palce sobie oblizywać!

— Nie mam apetytu.

— Horrendum! Chłop, tak, jak pan pysznie zbudowany, który pół dnia spędził na świeżem powietrzu i nalatał się nieledwie jak koń wyścigowy, powinien mieć apetyt! (Chyba... chyba, że się hrabia zakochał).

— Zakochał! W kimże u licha mogłem się zakochać?

— No, nie w żadnej baletnicy, chociaż była ich tam cała paczka... jeśli nawet Klingerka, świeża, jak paczek róży, nie umiała pana dłużej nad tydzień przy sobie utrzymać!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Innym razem... gdy będziemy sami...

łeczku familijnem, że Wielogrodzcy mają dobrą pamięć i mścić się umieją...

— Zależy od sposobu zemsty, jaki pan wybierze, bo jeśli chodzić będzie o pojedynek, to przysięgam ci, że nie uprawiam tego sportu. I po chwili dodał żałośnie, tonem płaczącym, z dziecięcym niemal rozrzewnieniem. Dla czego postąpiłeś ze mną niegodnie? Kochałem do szaleństwa jedną z tych, pomiędzy którymi przeszedłeś teraz, potracając je niemal łokciami... kochałem szczerze, całym sercem... a pan, ot tylko dla kaprysu, dla fantazyi, odbiłeś mi ją... boś bogaty, bo mogłeś sypnąć pieniędzmi... lecz po paru dniach porzuciłeś biedną dziewczynę... bez litości... bez sumienia...

— Aaaa! czy tak?... Mówisz pan o rudej Klingerce z corps de baletu?

— Ubóstwiałem ją... może nawet ożeniłbym się z nią, po otrzymaniu pozwolenia rodziców...

— Ja zaś nie kochałem jej nigdy. Nie mam zwyczaju kochać stworzeń, które kupić można! Lecz, teraz, ponieważ wiem, że chciałeś się zemścić... Przyznaj pan jednak, że w sposób zupełnie marny i nieodpowiedni, a uwłaczający honorowi rodziny, dla której masz i mieć musisz najgłębszy szacunek... Przebaczam panu. Zawsze jednak radzę, nie wiaż mi pan w drogę!